

MIKOŁAJ RAWKOWSKI

Kpr. rez. Mikołaj Rawkowski, 40 lat, gajowy, żonaty.

10 lutego 1940 r. zostałem wraz z rodziną wywieziony jako niebezpieczny element do archangielskiej *obłasti* w Ustwajengski [sic!] *lespromchoz*, na posiołek Szubunia. Baraki były słabo ogrzewane, dachy dziurawe tak, że deszcz padał do mieszkania. Wraz ze mną zostało osadzonych na posiołku 90 rodzin, w tym kilku gajowych oraz osadnicy cywilni i wojskowi. Pracowaliśmy na *uczastku* leśnym odległym od posiołka ok. dziesięciu kilometrów, gdzie i mieszkaliśmy, przychodząc do rodzin tylko raz lub dwa razy na miesiąc. Pracowałem prawie cały czas przy układaniu leśnej wąskotorówki, 10–14 godzin dziennie, a często nawet przychodziło się i w nocy, bo wszystko było im mało i trzeba było doprowadzić tor kolejowy do następnej kupy drzewa. Bo jeżeli nie doprowadzisz, to tym samym powstanie zastój w wywózce i grozili sprawą *wreditelstwa* z aresztowaniem. Mimo to zarobki były katastrofalnie słabe, starczały tylko na wyżywienie samego siebie w *stołowej*, a dla rodziny nie było co posyłać. W stołówkach dla rodzin zamiast na wszystkich gotowano tylko trzecią część, a i tego nie było za co kupować, więc sprzedawało się wszystko, co tylko kto miał z ubrania, biżuterii itp. Ja apelowałem do rodziców, którzy pozostali na miejscu, i oni wysłali do mnie kilka paczek z żywnością i nawet dla dzieci obuwie i ok. tysiąca rubli. Oprócz tego żona czasem zarabiała szyjąc jakąś sukienkę na maszynie dla kołchoźników, otrzymując za to albo kilka kartofli, albo litr mleka.

Komendant posiołka często zastraszał nas aresztowaniem, jeżeli nie podwoimy pracy i tak już podniesionej do ostatniej możliwości, a także wszelkimi sposobami badał jednego o myślach i działaniach drugiego na rzecz lub przeciw komunie. Rodzice moi składali apelacje do sądu najwyższego w Moskwie o rozpatrzenie mojej sprawy i oni odpowiedzieli, że wywieziony zostałem *prawilno* i powrócić mnie do domu nie wolno. Pewnego razu porąbałem duży palec

u lewej nogi i młody felczer dał tylko pięć dni zwolnienia, bo więcej nie można, komendant nie pozwala. O innych chorobach w ogóle nie ma mowy i nie ma lekarstwa.

Przy otrzymaniu amnestii wydali nam zaświadczenia, lecz na wyjazd nie pozwolili i dopiero po skomunikowaniu z władzami polskimi i otrzymaniu od pana pułkownika Koca telegramu, na jego podstawie uzyskaliśmy przepustki do Buzułuku celem wstąpienia do armii polskiej. Po rzece Dwinie przybyłem z rodziną do Kotłasu i czekałem na transport trzy tygodnie na dworze, w końcu października. Władze NKWD zabroniły wpuszczać do mieszkania, przez co moje dzieci poprzębiały się i w drodze, gdy dojeżdżaliśmy do Czelabińska, dwoje w jedną dobę umarło: synek Paweł (lat pięć) i córka Helena (lat osiem). Oprócz tego codziennie w transporcie umierało do dziesięciu osób, przeważnie dzieci.

Z Czkałowa zamiast do Buzułuku zawieźli nas do Kirgistanu i tam osadzili na kołchozach, gdzie i samym nie było co robić, a nam w ogóle nie dawali ani pracy, ani jeść. Z trudem dostałem się do kopalni rtęci [nieczytelne], gdzie dłubał kamienne ściany dobywając [ją]. 800 g chleba, poza tym nic. Tylko dla siebie, a dla członków rodziny nic.

W marcu 1943 r., przy formowaniu 9 Dywizji na komisji poborowej dostałem kategorię D, przez co nie zostałem przyjęty do wojska. W sierpniu 1943r. przyjechałem z rodziną, żoną i córką, do Pahlevi, a następnie do Teheranu, gdzie zostałem wcielony do kompanii wartowniczej.